



HENRYK GRZEJSZCZAK

Kozienice, dnia 5 września 1947 roku, Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Radomiu, Ekspozytura w Kozienicach, w osobie członka Komisji adwokata Jerzego Kaliszczaka z Kozienic po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania przesłuchała:

Imię i nazwisko	Henryk Grzejszczak
Miejsce zamieszkania	wieś Tomczyn, gm. Grabów nad Pilicą, pow. Kozienice
Data i miejsce urodzenia	20 stycznia 1907 r., wieś Trzebień, gm. tejże, pow. Kozienice
Imiona rodziców	Józef i Michalina z d. Wieczorek
Przynależność państwowa	Polak
Wyznanie	rzymskokatolickie
Zawód	szewc (czasowo pomoc leśna)

Dnia 16 grudnia 1943 roku do mieszkania mego pod lasem w Tomczynie około godz. 23.00 przybyła żandarmeria niemiecka z Kozienic. Drzwi do mieszkania zostały przez nich rozbite. Niemcy sprawdzili moje imię i nazwisko wg posiadanej listy. Ja miałem w kieszeni marynarki tajne gazetki „Biuletyn Informacyjny” – 40 sztuk dla kolportażu. Zdążyłem schować je pod kuferek. Gdy mój dwuletni synek obudził się i począł płakać, jeden z żandarmów z drwinami, przemocą włożył mu w usta marchew, a po tym przygniół go poduszką.

Razem ze mną aresztowanych zostało 8 mężczyzn. Zaraz przywieziono nas do więzienia do Radomia. Ani na miejscu, ani w Kozienicach bity nie byłem. Nazwisk Niemców nie znam. W Radomiu na tzw. *Dienststelle* byłem badany. Było to bicie bykowcami i kopanie. Z bicia

tego byłem cały czarny, a z ciała mojego tryskała jakby woda. Badany tak byłem trzykrotnie. Wiem, że Niemiec, który wprowadził mnie nie bił bykowcem, lecz kilkakrotnie mnie kopnął, nazywał się Koch. Po badaniu takim mocz oddawałem krwią. Do bicia byłem uwięzany do specjalnego stołu. Przypominam sobie – zakładano mi także maskę gazową, w której zamiast pochłaniacza był korek. Gdy obudziłem się, to mi odtykali ten korek. Żadnych opatrunków na rany z bicia nie miałem zakładanych.

Z Radomia wywieziono mnie do Gross-Rosen, a po tym do Dachau (KZ-L) i w końcu do München 68 (KZ-L).

W Monachium w *Arbeitslager* poddano mnie szczepieniu. Dnia 16 lutego 1944 roku otrzymałem zastrzyk w lewą łydkę. Mówiono, że to zastrzyk zapobiegawczy. Na trzeci dzień noga ta spuchła mi tak, że buta nie mogłem obuć. Dnia 20 lutego [19]44 r. zgłosiłem się na rewir. Dowiedziałem się od lekarza Polaka, że mam flegmonę, że to niemiecki lekarz robi takie doświadczenia. Miałem robione trzy operacje pod narkozą. Nazwisk lekarzy nie pamiętam. Miałem usuwaną część łydki i skrobaną kość. Całe leczenie polegało poza tym na okładaniu szmaty zamoczonej w zimnej wodzie z kranu – na to przychodziła ta guma. Leżałem tak chory do 12 czerwca 1944 roku. Gorączkę miałem od 38°–40°. Za całe odżywienie dostawałem zupę z brukwi i kalarepy. Schudłem tak, że ważyłem 38 kg. Rana zagoiła mi się dopiero w końcu kwietnia 1945 roku, lecz ciągle mi się odnawia.

Ja mam wzrostu 180 cm i ważę teraz 87 kg. Na doświadczenia wybrany zostałem – uważam – jako jeden z najzdrowszych. Teraz jestem chory, bez sił.

Odczytano mi – tak zeznałem.

Jest to tylko drobna część moich udręczeń.